



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWOCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

U GROBU CHRYSZTUSOWEGO.

—Co to jest prawda?—wołasz, Rzymianinie,
Patrząc w Chrystusa twarz świętą i smutną,
Bo wiesz już o tem, że umęczon zginie
Śmiercią okrutną.

Że go na drzewie straszliwym zawieszą,
Na czoło dadzą cień krwawej korony,
Że będzie konał przed milczącą rzeszą,
Żółcią napojony.

A Magdalena pod krzyżem leżąca,
Będzie krwi Jego krople czuć na sobie,
Aż na niebiosach zgaśnie światło słońca
I złożą go w grobie.

Przez łkanie niewiast, oniemiałość męży
Głos będzie wołał:—Już się wypełniło.
Na piersiach ludzkich rozpacz tak zacięży,
Jak głaz nad mogiłą.

Ale jest anioł pogodny i cichy,
Co ponad świata ciemnością się ślania,
W rękach ma lilii śnieżystych kielichy,
Anioł zmartwychwstania!

Gdy nad Chrystusem w dnia trzeciego świcie,
Grobowe wieko stanie odenknięte,
Wyblśnie prawda: nieśmiertelne życie
Tego, co jest święte.

NIC TRADYCJI.

Entuzjastka żona.

(Dalszy ciąg).

Czy dobrą jest matka, która, z pominięciem innych swych zobowiązań, dziecku nieograniczoną uczucia oddaje?—to pytanie inne, lecz za pewnik moralny to już uważać należy, że żonie niewolno dziecka nad męża przenosić, i dla wyegzaltowanej miłości macierzyńskiej z przymiotów dobrej żony się wyzuwać. Do najpoważniejszych zarzutów, jakie krytyka Emilowi Jana Jakuba Rousseau stawiała i dotąd stawia, należy ten, że jego system pedagogiczny wychowawcę na korzyść wychowywanego nadmiernie zabiera i tak go pochłania, iż mu każe całą osobistość swą zmyć i dla jedynego celu: wychowania dziecka jakgdyby z ludzkości się wytracić. Otóż entuzjastka, która chce się z ludzkością przez wszystkie jej dobre i wysokie sprawy wiązać, przez wszystkie dobre i wysokie serca swego uczucia żyć, nie może tak bezwzględnie i ślepo dziecka ukochać, aby uczuciu temu poświęcała wszystko, aż do miłości żony. Miłość szlachetnego mężczyzny i miłość szlachetnej kobiety co to za ideał dobra, piękna i szczęścia na ziemi! Jak się tu przez wspólność pragnień i uczuciowych celów życia harmonijnie ku nim dąży, jak się tu wszystkie cnoty wzajemnie podpierają, jak się wszelkie braki dopełniają wzajemnie!... Przez to wszystko, co jest obojgu wspólne, i przez to, co jest w nich różne, wspomagają się: potęgują w dobrem, nad złe podnoszą i dopiero razem obraz doskonałego istnienia tworzą. Jest taki myt grecki, że

Bóg w pierwszej świata godzinie dwie istoty: mężczyznę i kobietę, razem stworzył i dopiero potem ich rozdzielił, a z tęsknoty, którą rozdzieleni do siebie uczuwają, urodziła się ta miłość, która im po połączeniu szczęściem się staje; jakże zatem mają zostać znowu rozdzieleni, zobojętnieni względem siebie? Choćby wtedy żona najzupełniej i z usilnością największą oddawała się domowi i rodzinie, już tam ani zupełności szczęścia niema, ani się tam nie pełni to, co stanowi jeden z najważniejszych celów małżeństwa: kobieta nie jest już towarzyszką mężczyzny.

Otóż żona entuzjastka przez moc swojej miłości, przez wyższe małżeństwa pojęcie, przez siłę tej dumy szlachetnej, która chce wszystkim swem obowiązkom zadosyć uczynić i żadnego ze swych praw nie utracić, towarzyszką, przyjaciółką, współniczką życia męża chce być i jest nią zawsze; w tych przecież warunkach, że nie jego ciąsnem w stosunku do społeczeństwa i ojczyzny domowem kółkiem obejmuje i zamyka, ale sama do jego obywatelskiego, społecznego stanowiska myśli i uczuciem się wznosi, z nim i przez niego tam przebywa. Żona, która tego nie czyni, a chce męża poza towarzystwo swoje niepuścić i życiem nierozdzielności z nim żyć, gorszą jest od tamtej, która się męża dla dzieci swych wyrzeka i na ograniczone istnienie w gynecceum skazuje.

Tamta zostawia go samotnym, ta na poziom niższy ściąga i, na miarę swojej małości, małym uczynić pragnie: więc mu gwałt okrutny zadaje, więc go poniża i unieszczęśliwia, zabijając w nim wyższego, dostojniejszego ducha na ofiarę niższości, pospolitości swojej. Nie miłość też jest to, co tu działa: nie miłość, lecz próżność, zarozumiałość i ta pycha, co nie wyższego ponad siebie nie widzi—egoizm, przez który żona chce męża pacholkiem swoim, swoich potrzeb i przyjemności sługą, uczynić i w małżeństwie, w którym tak się dzieje, niema żony entuzjastki, bo ta w mężczyźnie

przedewszystkiem jego podniosłość, jego dostojność—szlachetną męskość kocha.

Żona-entuzjastka szlachetnej mękości nigdy od męża żądać nie przestanie; stanowi ona o jej dla niego szacunku, więc o tej podstawie, która miłości za grunt, za fundament, za piedestał służy. Gdy mąż w oczach żony-entuzjastki zaczyna się wyzuwać z przymiotów dostojnej natury męskiej, ona zaczyna czuć się nieszczęśliwą i nie-szczęśliwą wkrótce się staje, nie tylko w skutek niekorzystnej zmiany tych warunków życia, jakie tylko taki mężczyzna, blisko stojący, kobiecie zapewnić może, przez wiązanie jej z ruchem świata szerszym, przez podpieranie jej niewieściej istoty przymiotami swego męskiego ducha. Jest zdaniem ogólnie przyjętem i przez historią ludzkości stwierdzonem, że kobieta mężczyznę w dzikich porwach namiętności hamuje, surową ostrość charakteru jego łagodzi, uczuciowość rozwija, ale naodwrot potrzeba, aby mężczyzna duchowi kobiecie swego sił używał: jej serdeczną miękkość swoją tęgością charakteru podparł, coś męskiego hartu w jej istotę wprowadził. Otóż żona, która takiej pomocy życiowej ze strony męża nie dostaje, już przez brak tego uczucie cierpi i jak ktoś, pozabawiony naturalnej swej podpory, uczuwa się niedostatecznie wobec losów zabezpieczoną i nie-spokojną, a ta utrata równowagi duchowej narusza prędko i równowagę jej małżeńskiego stosunku. Wszystkie nasze smutno-wesołe anegdoty o żonach Barbarkach, o babach Herodach, których mężowie zpod łóżka protesty swe zanosili, na dział takiego stanu rzeczy przypadają. Kobieta gardzi mężem słabym, mężem niedołężnym, i mści się na nim za to, że tak jest, że jej wypadł los smutny żony, która nie może z dumą, z miłością, z ducha spokojem cichym na ramieniu męża się oprzeć i szczęśliwie iść tak przez życie. Więc się znęca nad nim i upokarza go, szaleje przez samowolę, boleśnie wyrobioną, a gdyby nawet ta samowola, despotyczność, ten egoizm rozwielniony, który chce być zawsze na wierzchu, już w charakterze kobieci tkwiły, jeszcze mąż prawdziwie męskiej, szlachetnej natury, może to szczęśliwie przetworzyć. Farsa Szekspira: „The taming of the Shrew“, to rzecz głęboko filozoficzna i głębokoprawdziwa. Środki tam przez męża obrane są naturalnie dobre do wesołej farsy, ale myśl zasadnicza na wielkiej znajomości natury kobiecej się opiera. O siłę męża, gdy się rzeczywiście wyższością okaże, rozbijają się wszelkie despotyczne, egoistyczne żony zachcenia, a przez to prawo przyrodzone, które sprawia, że kobieta tylko dzielnemu z rozkoszą się oddaje, uczuwa ona wtedy dla męża tę miłość, która gdy tylko w sercu kobiecie prawdziwą jest i głęboką, natychmiast stać się musi słodyczą, tklivością, powolnością łagodną i myśląc o tem: o tem ile wdzięku życiu mężczyzny dać, ile szczęścia miłość kobiecie dobrej w koło siebie roztoczyć może, Eklezjasta woła, że pszczołka taka mała, a taki duży plaster miodu urobić jest zdolną.

Żona entuzjastka czuje się również w szczęściu swoim zachwianą, gdy mąż cofa się z drogi uczciwego obowiązku, gdy przestaje być człowiekiem szlachetnym, obywatelem dobrym — gdy zawodzi te obietnice moralne, które sobie co do jego wartości duchowej czyniła. Ale żona entuzjastka nie poprzestaje wtedy na łzach cicho ronionych: obowiązek uczciwej kobiecie, uczciwej istoty ludzkiej już jej każe czynić inaczej; ona nie może trwać w sojuszu, nie tylko już miłośnym, ale spokojnym, ze złym, ze skalanym. Przez to samo, co było niegdyś w jej sercu miłością, przez to, co pozostaje aż do chwili nierozzerwanego małżeństwa współnictwem moralnem, przez te wszystkie względy serca i osobistej godności jej duszy musi ona działać: tak ratować, bronić, leczyć. Jak ratowałyby, broniła, leczyła chorego, jak wyrzywałyby go przez ofiarę, poświęcenie dni i nocy swoich objęciom śmierci, kalectwa, niemocy znicestwiające. Ale gdy leki nie pomogą, gdy zabiegi troskliwej skutku nie wydadzą, musi być ona inną *honoru swego lekarką*: musi stanąć na wyłomie najokrutniejszej na świecie walki, bo walki dwojga ludzi najbliższej ze sobą związanych, i nie może też być tu innego końca, jak tylko jej

tryumf, a jego cofnięcie się z drogi nieszlachetnej, albo — rozdział...

Jestto jedyny w oczach moich punkt rozwodowy dla kobiety uczciwej, bo jeżeli są względy, są obowiązki, którym trzeba choćby szczęście całego życia wydać na ofiarę, to niema w całym kręgu stosunków ludzkich takiego węzła, któryby bez moralnego upadku wiązał z nieuczciwością i taką naprzykład żona Bazaine'a jeżeli jest, jeżeli istnieje na świecie, bo nic nie wiem o tem — taka żona Bazaine'a czy może bez upodlenia się, bez szanbienia duszy swojej obok zdrajcy pozostać, głowę jego do piersi swej przytulać, słodką nazwą małżonka na niego wołać?

W historii naszej jako żona entuzjastka występuje szlachetnie piękna, wyniosła postać Małgorzaty Chrzanowskiej. Ta mogła jeszcze ocalić, obywatelską uczciwość i cześć męża, ta podniosła też wysoko sztandar ofiary i bohaterstwa który wypadł z jego ręki i stanawszy z nim sama na szanbach szlachetnego obowiązku, uratowała jego i siebie — szczęście i godność obojga.

Mimo wysokiego uznania świętości węzłów małżeńskich i podległości żony mężowi, tradycja żon entuzjastek w kierunku takim istniała u nas zawsze. Odyńcie w historycznym swym dramacie: *Barbara Radziwiłłówna* przedstawia w bardzo piękny i podniosły sposób taką żonę pod postacią Kmitowej, wojewodziny krakowskiej. Mąż dla prywaty i widoków własnych służy za narzędzie intrygom Bony, wichrzy Sejmem Piotrkowskim, zatem kraj do niezgody, rozdzielenia, zguby wiedzie, gdy oto nagle, w chwili najmocniej stanowczej, żona stawia przed nim. Na jej obliczu: „przestrach czy bolesć“ i on zadziwiony, przeleżkły, pyta co to jest? Czy przygoda jaka w ich domu, który pod tarczą jej zostawił, w Wiśniczu? Na to ona odpowiada mu, że gore — ale nie Wiśnicz... gore to, co ona bronić, ratować powinna i dlatego usłyszała głos Anioła-Stróża, który jej powiedział, aby tu jechała do niego. I pojechała, jest... Noc, burza, przygody złowieszcze, wszystko to zniknęło jej z przed oczu dla tego celu najwyższego, jaki chce osiągnąć. A skoro on obrażony woła: „Jam jest mąż... panem swej woli się mniemam... ona zapożywa go przed sąd Boga, aby powiedział, zali aż dotąd nie była mu zawsze uległą i posłuszną żoną, zali kiedy zadość mu się nie stało we wszystkim: „co nie tyczy czci i sumienia?“ Ale teraz uderzyła godzina inna, i kobieta powiada:

Ja wam przysięga cześć i posłuszeństwo,
Lecz nie swą hańbę, nie krzywoprzysięstwo
Swym obowiązkom — pierwszym niżli żony!...

Gdy on mimo to słów jej, uwag i prośb nie waży, gdy odpowiada tylko, że „mąż patrzy śmieje!“ ona mówi z bolescią surową:

Tak? A więc nasza skończona rozmowa...
Waszmość naczelnik rokoszu — jam wdowa
Po waszej cnocie i po chwale waszej.
Wasz wzgląd na ludzi — mnie sąd Boski straszy,
I od dziś nasza rozdziela się droga...
Waszmość za swoją, ja za wolą Boga,
Chcę iść — i pójdę... Nie będzie mówiono,
Że Herburtówna była zdrajcy żoną,
Że Herburtówny wiano w rękę Kmity,
Wspierało rokosz w Rzeczypospolitej. —
Wiano to odtąd ni wasze, ni moje....
Tu, na tem miejscu, gdzie w tej chwili stoje,
Wobec was, Boga ślub czynię, że za nie
Kościół i klasztor pokutniczy stanie,
A ja w nim, za was sromając cię świata,
Na łyzy i posty zamknę moje lata,
Ile ich jeszcze Bóg mi ich przeznaczył,
Prosząc Go tylko, aby wam przebaczył.

Okrutna, bolesna scena rodzinnej tragedii, ale życie ma je wszędzie, gdzie duch szlachetny stoi silnie przy prawach cnoty i obowiązku. Niech też

nikt nie widzi w tem myśli, któraby w stosunku do świętości węzłów małżeńskich i rodzinnych rozkładowo działać chciała. W szlachetnem małżeńskiego związku pojęciu jest jedynie jego podniesienie, a nigdy upadek, i gdyby tylko wszystkie żony były takimi jak ta wojewodzina krakowska, ta Herburtówna, chlubiąca się tradycją rodu swego, który słynął z cnót i chwały:

Mnożąc ja społem i strzegąc od sromu,
Mężowie w bojach, a niewiasty w domu.

Przecież żona entuzjastka nie tam tylko się znacza, gdzie surowego hartu i bolesnej wzniosłości potrzeba. W imię tej samej zasady, która jej każe skalą oporu tu stawiać, zobowiązuje się ona w sumieniu swojem do wspomagania szlachetnego męża w zamiarach szlachetnie wiedzionego — szlachetnie, wysoko pojętego życia, jego godności i zasługi. I jak tam nieugięta, tak tu słodką powinna być i tklivą, i do cech entuzjastki żony to też należy, że rozumiejąc jak ważna jest ta praca społeczna i obywatelska, którą mężczyzna na swe barki bierze, ile jest w niej nieraz goręczy, a zawsze nużącego trudu, chce mu dom, rodziną jego uchronąć, miejscem odpoczynku i wzmocnienia uczynić. Tu powinna być jego oaza z zieloną palmą, która łagodnie ocienia i chłód daje, tu być powinno źródło, które pokrzepia i pragnienie koi. Jak pod tym względem żona do męża się stawia, jak swoje stanowisko względem niego i jego pracy pojmuje, z tego poznać można, czy należy do szlachetnego odłamu kobiet, które entuzjastkami zowiemy.

(Dokończenie nastąpi)

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Opisano mu Butryma jakotako, bo nie bardzo go kto widział teraz, oprócz żydówki Chai. Sępić, nie tylko jego, ale konia, i sługę, i kulbakę, szerść wierzchowca, suknie Damazego, kazał sobie opisywać. Wierzchowiec na nieszczęście miał białą nogę, a Pawluczek gorąco rude włosy i twarz strasznie piegowałą.

Sępić, który w początku na nogach się mógł z ciężkością utrzymać, gdy raz chodzenia spróbował, kija sobie dobrał i wprawiać się począł, choć kołysząc się i przechylając coraz lepiej, nauczył się stapać. Łobodę, który go w początkach wodził, porzucił wkrótce i sam zaczął robić wycieczki do miasta.

Po długiej wstrzemięźliwości od piwa i wódki, gdy ich za pierwszym razem skosztował, zawróciła mu się głowa, ale potem odzyskał tę moc, jaką miał dawniej, że kwartę siwuchy mógł na raz wlać w siebie.

Z wielką pociechą Wolskiego wkrótce Sępić był nie do poznania, a wzięty na spytki, dowiódł, że czasu nie zmarnował. Wiedział już, domyślał się więcej od przebiegłego faworyta. Około klasztoru Reformatorów krążąc, doszedł do furty, którą gnoje wyrzucano, i dopatrywał, że tam niedawne ślady ludzkie były, a drzwi też otwierały się często.

Nie któredy indziej, jeno tamtędy mógł się wyknąć Butrym, gdyby go w klasztorze szukano. Napytał też i tego, że Butrymowie obaj zdawna Froimowi zubożałemu byli znani, z przyjaźni. Miał oko na tę chałupę, chociaż nie jeszcze nie wyszedł w niej. Koń z białą nogą i chłopiec z rudą głową, widywani byli razem u studni za miasteczkiem: i to też coś znaczyć mogło.

Słowem, Sępik był na tropach, a Wolski ręce zacierał, złote góry mu obiecując, jeżeli dostanie tego człowieka. Miał go, według osnutego planu, posadzić tam, z kąd wziął Sępika i stróżom szepnąć, aby nie koniecznie o chlebie dlań pamiętali.

Gdy na zamku taką nań obławę gotowano, Damazy jeszcze dosyć swobodnie się obracał w pobliżu, a o mroku wślizgał się do miasta i chodził pod zamek, niemal pod okna Faustysi, pomimo podwojonych straży. Umiał on je tak wyprowadzać w pole, że gdy go w jedną gonili stronę, on z drugiej się podkradał. Dwa razy stróże niewinnych przechodniów i zamkową czeladź łapali za niego.

Z zamiarem wykradzenia jednak czekał Damazy, aby się książę wybrał do Warszawy na zapowiedziany obrzęd inwestytury kurlandzkiej.

Z okazji tej uroczystości miało się właśnie odbyć owo niewidziane nigdy polowanie, na które chorąży króla jegomości zaprosił, przyrzekając mu, iż tyle zwierza położy i takiego, jakiego zechce. Znać potrzeba było upodobanie, istotnie do szalu posunięte, Augusta III, do myśliwskiej zabawy, aby zrozumieć, jaką to królowi radość sprawiało.

Wiadomem było wszystkim, że w niedostatku zwierzyny, król pod altaną saskiego pałacu, nocami padł konie rzucać kazał, i do psów zbiegających się do padliny, strzelał—byle mieć przyjemność strzelania. Wiedział chorąży, sam niegdyś zapalony myśliwy, a i teraz nieobojętny dla łowów, jaką rozkosz królowi sprawi i jaką sobie wdzięczność pozyszcze.

Na tych łowach, choć ociężyły i niezbyt zdrów, sam on gospodarzem być musiał, i do Warszawy koniecznie jechał postanowił.

Butrym czekał tylko oznaczenia pewnego terminu, aby ostateczne przygotowania uczynić i drugiego dnia po wyjeździe księcia być we wszystko zaopatrzonym, czego wymagało porwanie z zamku Faustyny.

Wolski, który, choć nie pełnił tych obowiązków, ale łowczego pańskiego tytuł nosił, zdawało się, że panu, równie jak Marcyan Butrym, towarzyszyć będzie w podróży.

Na podłowczego spadł niesłychany ciężar i odpowiedzialność za przewiezienie tego mnóstwa zwierza żywcem do Warszawy, opatrzenia i opasania placu, komenderowania tą osobliwą wyprawą, do której same konie i furmanki na seciny się liczyły.

Żadna stajnia, nawet Radziwiłłowska, nie byłaby starczyła na przewiezienie sieci, klatek, zwierza, koni, strzelb i wszelkich przyborów. Wzięto więc z wczasu w kontrybucję wszystką uprząż włosciańską, z Białoszczyzny i okolicy, wszystkie sanie, płozy i gryndże, jakie się gdzie na wyżkach znalazły.

Sanna trzymała, ale prorokowano już po ostrych mrozach, mającą ze zmianą księżyca, nastąpić odwilż: potrzeba więc było na wypadek wszelki mieć i koła przysposobione.

Chociaż hasło dane jeszcze nie było, kiedy się ruszyć miano, Butrym ani na chwilę spocząć nie mógł. Ponieważ zwierzę pochwytywane w lasach bialskich księciu się nie wydawał dostatecznym jeszcze: wieziono go z lasów słuckich, a wszystek mieszczone w Białej, oddając pod straż Butryma.

Dzień i noc były te olbrzymie zwierzęta czuwać było potrzeba. Marcyan konno, gdy nóg już nie stawało, objeżdżał gromady ludzi i zagrody; bo za wszystko był odpowiedzialnym, a książę do łowów tych królewskich niesłychaną przywiązywał wagę.

Zajęty temi przygotowaniami, Butrym trochę o bracie zapominał i miał to przekonanie, że przecież, opamiętawszy się, iż tu nie dokazać nie mógł, da pokój całemu przedsięwzięciu. Domyślał się, że Damazy na Litwę pojechać musiał szukać sobie gdzieś służby i o tej nieszczęsną Faustysi zapomni.

Jakież było podziwienie Marcyana, gdy jednego dnia, zawiadna jeszcze, pod wieczór, ujrzał brata konno przyjeżdżającego pod zwierzyniec, z tak swobodną i jasną a wesołą twarzą, jakgdyby nic a nic mu nie zagrażało.

— Czołem, panie bracie, — zaczął zdala już Damazy. — A co? nieprawdaż? tuś-cie się mnie nie spo-

dziewali? Chciałem was odwiedzić — no — i prawdę rzekłszy, zobaczyć tę raritas, której człowiekowi drugi raz w życiu pewnie się widzieć nie trafi.

I śmiał się, podjeżdżając, Damazy.

— Oszalałeś chyba — odparł Marcyan — a też wiesz, że cię ścigają, szukają i tropią.

— A wiem! to i co! — zapytał pierwszy. — Kpię sobie z nich, i powszystkiem.

— Gdzież u licha siedzisz?

— W dziurze, a bardziej w kilku, niż w jednej — rzekł Damazy. — Nie oddalałem się więcej nad jeden raz do Libiszewskiego, do Chrzanówki.

— A tam coś robił?

— To moja osobista była sprawa — rzekł Damazy — Wiesz, że Lubiszewski jest rodzonym bratem Zaborskiej; ale — jak niebo do ziemi.

Marcyń nawet długo rozpytywał brata nie miał ochoty, tak mu strach było, aby kto nie nadjechał, nie poznał Damazego i nie zdradził ich.

— Jedź ty ztąd, bo tu za dużo oczów — szepnął bratu.

— Tchórzem cię podszyli w Białej, jak Bóg miły — rozśmiał się Damazy. Konia mam takiego, że mnie nie wyścigną.

I uparcie stał Damazy, rozpatrując się po taborze.

— Nie darmom ja się tu przywlokł — dodał. — Wiedziałem, że ty mi tak bardzo rad nie będziesz i że oberwę od ciebie; ale potrzebuję wiedzieć koniecznie, kiedy ta inwestytura i polowanie nastąpi — a książę sobie ztąd wyjedzie. Czekam na to.

— Ty zawsze swoje! Szalona palko! — krzyknął gniewnie Marcyan.

— Przypomnij-że sobie, gdyśmy dziećmi byli, czym kiedy, choćby tobie, którego kochałem — ustąpił? Tak i tu: nie wyrzeknę się tego, co postanowiłem: to darmo.

Kiedyż jedziecie?

— Nie wiem! — odburknął Marcyan — postanowionego jeszcze niema nic.

— Kłamiesz?

— Prawdę mówię.

— Nie może przecie być, abyście długo tyle zwierza, koni i ludzi karmili. Sami wilcy, których tu na setki liczyć, zjedzą was z kośćmi.

Marcyń ruszył ramionami.

— Terminu niema.

— A Wolski — z księciem jedzie, czy nie? — zapytał Damazy.

— I tego nie wiem — odparł Marcyan. — Wolałbym, żeby go nie było, ale się on łowczym nazywa.

— A ja-bym wolał, żeby z wami był — rozśmiał się Damazy. Weźmijcie mi go z karku. Prześladuje mnie zbój okrutnie, bo mu się też Faustynki chce, a z matką się zmówił, że mu ją dać musi. Nie dał rady sam, ani jego ciury głupie: więc z więzienia na mnie wypuścił zbuja Sępika, o którym trzyma, że słyszy, jak trawa rośnie.

Śmiał się Damazy, a Marcyanowi coraz się robiło smutniej, gdy słyszał takie lekceważenie.

— Bój się Boga! — zawołał Marcyan — uchodź, pókiś cały. Uda ci się im raz lub dwa wymknąć: przecież przydybać cię mogą, a złapią — toś zginił.

— W Bogu nadzieja, że się im wywinę — odparł Damazy — a byleście wy się z nim do Warszawy wybrali...

Marcyńowi słuchać przykro było.

— Damazy mój — zawołał — zuchwalstwem takim ludzie giną.

— I wszystko niem też zdobywają — przerwał brat. — Ty wiecznie będziesz podłowczym, bo nie masz tej śmiałości, co ja.

— Bogdajbys i ty ją postradał! Rozumiem zresztą ważny i głowę, gdyby było za co!

Damazy popatrzał smutnie na dalekie lasy.

— Mój bracie — rzekł — ja-m taki, że wierzę niewieście i sercu jej, a nieszczęśliwą ratować mam za prawą i poźniejszą sprawę. Zdradzi mnie potem? nie ja winien będę przed Bogiem — ale ona! Nazwij mnie prostodusznym dudkiem: wolę nim być, niż niekochać nikogo i nieufać nikomu.

Dziej się wola Boża!

To mówiąc, Damazy uśmiechnął się do brata, ręką skinął i konia, który, czując wilki, ciągle mu się rwał, chrapał i rzucał, pusił nareszcie. Białonóżka, poczuwszy cugle wolne, z kopyta cwałem

poszedł i poniósł pana, skacząc przez krzaki, zapamiętale, bo mu się zdało, że go wilcy gonili.

Koniec tomu pierwszego.

Tom II-gi.

Tak, jak ludzie przepowiadali, około świąt Bożego Narodzenia, gdy po surowej w początkach zimie, spodziewano się większych jeszcze mrozów i śniegów, nagle wszechmocny pan wiatr obrócił się jakoś ku południowi, powiał, jakby na drwiny, i jednego ranka śnieg się zsiadać zaczął i ze strzech kapalo.

Ludziom ten kaprys wcale nie był pożądanym, a jeśli komu, to najmniej księciu chorążemu, który, patrząc przez okno na zaczynające czernieć w dziedzińcu ścieżki, burezał i zżymał się okrutnie. Pytał każdego przychodzącego: — Co to? odwilż?

Domyślano się, że księciu jegomości nie była ona na rękę, więc dyssymulowano.

— Żeby tak bardzo tajało — mruczał Wolski — tego powiedzieć nie można, trochę tylko zelzał mróz i śnieg się zbija. Jak zmarznie, potem będzie lepiej trzymał.

Tymczasem marznąć nie myślało wcale, a z dachów kapalo coraz-to lepiej.

A właśnie, gdy się na tę nieszczęśliwą odwilż zebrało, jednego dnia chorąży z Warszawy otrzymał umyślnym listy donoszące, że inwestytura królewicza Karola na Księstwo Kurlandzkie, w Warszawie odbywać się miała w początku roku.

Przy okazji tego zjazdu chorąży miał się przed królem popisać, wydając dlań owo sławne polowanie Radziwiłłowskie, o jakim świat i Korona Polska nie słyszała i drugiego mu podobnego widzieć nie miała.

Jaką wagę do tego popisu możności swej przywiązywał chorąży — mówiliśmy; zdawało mu się, że temi łowy postawić miał książęcy dom Radziwiłłowski na najwyższym znaczenia szczeblu, że dopełniał aktu politycznego, który mógł dla rodziny najświetniejsze za sobą następstwa pociągnąć.

— Poznają Radziwiłła! — mówił w duchu.

Zaledwie, na listy rzuciwszy okiem, książę krzyknął na hajduka, aby mu natychmiast — *eo instante*, powołano podłowczego. Wolski zwał się wzradowie łowczym, lecz teraz obowiązków tych nie pełnił — wszystko leżało na Butrymie.

Nim go zwołano, nim się stawiał, książę po raz kilka się już o niego dowiadywał; a gdy go w progu zobaczył, zerwał się z krzesła, co było dowodem niesłychanego rozgniewania, i ręce podnosząc, zaczął wołać:

— Teraz pokaż, co umiesz! Jutro wszystek tabór, klatki, zwierzę, psy — do Warszawy. Przedem wysłać, obejrzyć co się dzieje na placu pod Ujazdowem, czy budują altanę, czy las sadzą.... W drogę, na miłość Chrystusa Pana, w drogę, bo oto jeszcze w dodatku puszcza, a uchowaj Boże, sanna się popsuje.

— Mości książę — powlecemy się po błocie, a staniemy — rzekł Butrym, którego wreszcie ta cała wyprawa osobliwa także zajmować zaczęła. Było w niej coś szalonego, mogącego człowieka rozgorączkować.

— *Praeter propter*, masz acan dwadzieścia czterech godzin czasu do wyrzucenia się w drogę: jutro musicie ze zwierzem i z ludźmi być już na gościńcu. A tu z dachów ciecze!

Książę ręce załamywał.

— Będziesz acan gotów?

— Ja jestem gotów — odparł zuchowato Butrym — i jutro ruszym niezawodnie.

Książę odetchnął i siadł w swem krześle; chciał jeszcze dawać instrukcje, gdy wpadł Wolski.

Wiedział on już, co tu się święciło, i na polu był rozdarty niepewnością srogą, co z sobą miał począć: czy się pnieć w podróż tę, gdzie go mogła spotkać jaka łaska królewska, dystynkcyja, nagroda za te łowy Nemrodowskie; czy zostać na straży Faustysi i łapać tego niedźwiedzia Butryma?

— Ruszaj mi, Butrym, nie trać czasu — zakrzy-

czął książkę — gardłem mi za wszystko odpowiadasz, ruszaj a śpiesz. Lepiej abys na miejscu był zawnęcznie, niż, żebyś się opóźnił o jedne sekundę.

Już miał wyjść Butrym, gdy książkę zawołał:

— A ze Słucka przywożą niedźwiedzie?

— Dziś przyjdą!

Chorąży odetchnął, Butrym wyszedł, Wolski stał w progu. Zazdrość okrutną czuł, że mu ten podłowy chleb od ust odbierał i całą zasługę urzędzenia łowów.

— Co jaśnie oświecony pan względem mnie postanowi? — zapytał *pro forma*. Czy mam jechać do Warszawy? a w takim razie, kto tu w Białej na tym niebezpiecznym posterunku zostanie?

— Ja ciebie do Warszawy nie potrzebuję — odparł książkę. — Ty tam po co? Do tegoś się nie przydał. Był z ciebie kiedyś łowczy, ale teraz tobie na ludzi polować. Butryma mi tam dosyć; ty patrz, aby się tu co nie stało, za co-bym ja z ciebie skórę miał zdzierać.

Książkę mówił roztargniony i Wolski zrozumiał, że z nim teraz o czemkolwiek innem, a nie o polowaniu dla króla, mówić nawet nie było podobna. Spoglądał w okno, gryząc się nagłą odwilżą, która taborowi ciągnącemu do Warszawy drogę utrudnić miała; przychodziło mu na myśl, jak niedźwiedzie, których około dwudziestu transportować miano, dojadą, jak łosie, jak wilcy?

— Żeby to do licha nie pochudło jeszcze w drodze — mruzczał — bo zwierzę i tak w niewoli, zawsze chudnie; wstyd będzie gnać przed królem skórę i kości.

I jakgdyby sprawa ta, istotnie o życiu i czci stanowić miała, książkę się nekął, pocił, turbował.

Przyszła na stół kwestya kosztów, a książkę skąpy był, nie rad dawał, lękał się, aby go nie okradano; z drugiej zaś strony dla marnego grosza nie chciał zepsuć tego wystąpienia.

Cały więc ranek Wolskim się, jako zaufanym, posługiwał, radząc się, komu co powierzyć ma, komu zdać nadzór i kontrolę. Podejrzliwość była w jego charakterze. Tymrazem jednak prze-magała chęć popisania się i o pieniądze mniej dbać postanowił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA SŁÓW

O DZIAŁALNOŚCI NAUCZYCIELSKIEJ

Kazim. Brodzińskiego.

(Dalszy ciąg)

Dziś, gdy praca lat kilkudziesięciu posunęła wiadomości nasze znacznie dalej, podobne zadanie da się wykonać metodyczniej; Brodziński jednak, mający stwarzać niejako swój kurs, dokonał tego z niemałym pożytkiem dla młodzieży, której przewodniczył. Oto n. p. gdy Brodziński roz-biera pisma Reya, p. P. Chmielowski w swej cennej pracy robi mu zarzut, iż traktuje ustęp ten zbyt pobieżnie; sądźmy wszakże, iż zarzut ten jest może zbyt surowym, a to z tego względu, iż w kursie literatury ocenia najpierw Brodziński zasługi Reya położone około rozwoju ojczystego języka, roz-biera dość szczegółowo jego dzieła, mianowicie *Żywot człowieka poczciwego*, który-to utwór uważa za doskonały materiał dla tych, co chcą cośkolwiek bądź pisać o tej epoce lub na tle jej tworzyć, znajdując w nim najlepszy i najwierniejszy obraz życia rodzinnego, społecznego, zwyczajów i obyczajów współczesnych, a nadewszystko zaś uważa pisma Reya za najlepsze źródło do studyów nad językiem polskim; Rey bowiem, który, jak wiadomo, mało znał i mało czytywał klasyków łacińskich, pozostał, zdaniem Brodzińskiego, nazawsze wolnym od tego powszechnego na-ówczas wpływu łaciny na kształcący się dopiero język rodzimy, i musiał pisać czysto rodzimą pol-

szczyzną, u niego tedy najłatwiej odnaleźć ducha języka w czystości. Uwagi takie są cenne i miały wielkie pedagogiczne znaczenie; zwłaszcza, że Brodziński jako nauczyciel przemawiał tu do młodzieży, która potem, na niwie literackiej pracując, mogła korzystać z podobnej wskazówki lepiej, niż gdyby w ciągu wykładu streszczał jej dzieła będącego w mowie autora. Co więcej, kończąc wykład o Rey, zapowiada professor, że będzie podawał studentom na lekcji ćwiczeń praktycznych wyjątki z pism jego. Musiano zatem pracować nad tym przedmiotem więcej daleko niż pozostałych w kursie literatury kilka kartek wskazuje. Szkoda tylko, iż żaden z uczniów Brodzińskiego nie pozostawił nam wspomnień o tych ćwiczeniach praktycznych, które mogłyby rzucić wiele nowego światła na dydaktyczną działalność autora *Wiestawa*.

Wracając do zadania wykładu literatury, jako kursu uniwersyteckiego, sądźmy, iż nauczyciel ze swego pedagogicznego stanowiska nie powinien nigdy zapominać o tem, iż wychowanie pielęgnować winno zdrowie głowy, zarówno jak i serca, i dlatego, wykładając historię literatury, przygotowuje stosownie swój wykład, aby zadośćuczynił obu tym warunkom: a więc ułoży go proporcjonalnie do celu, jaki wykładowi swemu nakreślił i przygotowuje doń stosowny materiał. Nie zależy tu bowiem tyle na ilości rozebranych kwestyj, ile na sposobie ich traktowania. Goethe powiedział, iż podejmuje się na jednym takim pisarzu, jak Tschudi, dzielnie wykształcić człowieka. Jakkolwiek przesadzonem wydawać się może powyższe zdanie, to jednakże ma ono swoje głębokie pedagogiczne znaczenie; chcąc zaś zastosować je do naszej myśli, tłómaczyć je sobie możemy w ten sposób, że wielki poeta i myśliciel niemiecki wyraża tu tę prawdę, iż na jednym przedmiocie, dobrze poznanym, wszechstronnie zgłębnionym i krytycznie ocenionym, skorzysta umysł młodzieńczy więcej, niż gdyby poznał mniej gruntownie kilkanaście innych. Zadaniem szkoły i nauczyciela jest bowiem umysł rozwijać, t. j. zmusić go do sformułowania własnego a gruntownego sądu o rzeczach. Tego musi uczeń u nauczyciela szukać i tego ma prawo żądać od niego, bliższe zaś szczegóły, fakta liczniejsze znajdzie zawsze w odpowiednich dziełach naukowych. Młodzieńczą wiedzę jego kieruje nauczyciel, aby nie wiał utartych ogólników za nowe idee i niemi nie szermował bez pożytku dla nauki i siebie.

Jeden i tensam przedmiot może przez długi czas dawać podniecie do jaknajróżnorodniejszych kwestyj w dziedzinie wykładów. Oto n. p. literatura służyć może zarówno filozoficznemu, jak religijnemu i etycznemu, celom wychowania. Ale przedmiot wykładu należy od czasu do czasu zmieniać i tu znów zachodzi pytanie: co w zamian dla zrównoważenia tamtych filozoficznych dyskusyj słuchaczom przedstawić?

I oto zaczynamy uważać tensam przedmiot ze stanowiska psychologicznego, potem estetycznego, a wreszcie nawet i utylitarne. I tak w ciągłej równowadze wykładana literatura przechodzić będzie od rzeczy abstrakcyjnych do konkretnych, od teorii do praktyki¹⁾; raz temat pewien podejmie, to znów go porzuci, aby się w innym zagłębić, to znów dotknie zlekka kwestyj literackiej, będącej na czasie. Kodexem takiego wykładu będzie ruchliwość, gruntowność i praktyczność.

Jeżeli nauczyciel rozpoczyna wykład swój od wstępu do literatury, niechaj ten wstęp będzie, nie politeracki, ale tak pedagogicznie obmyślany, aby dał słuchaczom pojęcie o tem, czem jest literatura, jakie jej wysokie znaczenie jako przybytku, w którym zamyka się cała dotąd zdobyta wiedza; niech rzuci kilka myśli o zasadach naukowych, estetycznych i etycznych, jakim winno zadośćuczynić dzieło literackie; niech historycznie i krytycznie oceni dotychczasowy stan badań na tem polu dokonanych; niech wreszcie ogólnym rzutem oka obejmie cały swój przedmiot, aby ten, naksztalt plastycznego posągu, wyobraźni i umysłowi słuchaczów się przedstawił.

1) Brodziński miał tę myśl, urządzając oprócz wykładów literatury lekcje ćwiczeń praktycznych.

Taki wstęp przygotowuje słuchaczy do dalszych wykładów, będzie pierwszym stopniem, po którym wzbijać się zaczęła wraz z przewodnikiem swoim do owego wyżej wspomnianego przybytku wiedzy, świadomi już tego, czego mają od przeszłości wymagać, a co zdobyć sami już muszą, — sądzący sprawiedliwie, bo historycznie przygotowani. Wtedy już słuchacze zaczęli miłować tę przeszłość, nie ślepo, aby na jej cześć składać bezsensowne dytyramby lub na jej model tworzyć; ale przystępując do przedmiotu swego z tym gorącym a cichym zapalem, który serca rozgrzewa a umysł cały zajmuję. W takim wstępie na wykładający pole do rozentuzymowania słuchaczy, tu może się nawet dać unieść zapalowi, może użyć całej świetności swojej wymowy.

Wykład od samego początku opracować potrzeba systematycznie, bo już w pierwszej epoce znajdują się pierwiastki wielu przyszłych zagadnień. Oto n. p. w naszej literaturze kwestya kształcenia się języka, wpływ łaciny, literatura kościelna, pierwsze braski samodzielnej twórczości i t. d. Im dalej w las tem więcej drzew: tok czasu przynosi coraz liczniejszych pisarzy, myślicieli, poetów i badaczy; nie podobna mówić o wszystkich; wykład akademicki to nie książka, którąby można na tomę rozprzecznić; jestto raczej nauka przez czas ograniczona, młodzież poświęca jej kilka najcenniejszych lat swojego życia. Otóż nauczyciel wybiera najważniejsze przedmioty najbardziej wpływowych pisarzy i tych wszechstronnie na wszelkie możliwe sposoby krytykuje i ocenia. Tym sposobem umysł słuchacza spostrzeże z ilu-to punktów i jak różnorodnie rzecz daną sądzić można i szuka własnego swego zdania, na któremby się mógł wesprzeć. Takim materiałem jest n. p. kilku klasyków Epoki Zygmunto-wskiej, że tu przytoczę tylko Kochanowskiego, Szymonowicza i Klonowicza. Na tle literackiej działalności tych poetów rozwijać można takie bogactwo myśli, poglądów na ducha i charakter całej epoki i reszty współczesnych pisarzy, że młodzież, nietylko wykształci smak na wybitnych dziełach, ale nadto zainteresuje się przedmiotem, zacznie czytać, badać sama dzieła odpowiednie, w które przecież biblioteki uniwersyteckie są zaopatrzane, a rzeczą jest nauczyciela studyów takich przy egzaminach wymagać.

Tak młodzież, wykształciwszy smak na złotym wieku naszej literatury, potrafi ocenić co dobre, a odrzucić co złe w chwili jej upadku, t. j. mniej więcej od r. 1622 po 1750, nie da się ołsnąć urokowi francuskiego klasycyzmu w Epoce Stanisławowskiej i wybierze z niej tylko tych pisarzy, którzy rzeczywiście oryginalnością pomysłów i gładkością stylu się odznaczyli; a idąc coraz wyżej, na przełomie już XVIII i XIX wieku zrozumie logiczne i organiczne następstwo romantyzmu, uwielbi co godne uwielbienia, a odróżni co technicznie przesadą i czczością myśli.

Gdy zaś w tej pracowitej wędrówce stanie wreszcie młodzież wraz z przewodnikiem swoim u progu teraźniejszości i ujrzy się już we wnętrzu wielkiej świątyni, wtedy będzie już mogła sprawiedliwie sądzić. Nie lekceważąc przeszłości, zajmie się tem, co nowego stworzono w literaturze; ale umysł jej, w dobrej wyćwiczony szkole, nie da się już uwieść pozorom stylu i frazeologii, wo-lającą, że nowe odkryły nam światy. Nie zadowalniając się ogólnikami artykułami dziennikarskimi, zażąda natomiast prac naukowych, wiódących na drogę rzeczywistego postępu, porówna owoce tej pracy z rezultatami pracy przeszłych pokoleń i dopiero po takim sądzie i porównaniu przyjmie dzieła nowe do panteonu ojczystej literatury.

Z ogólnej liczby słuchaczy takiego kursu literatury, kilku zaledwie zostanie literatami; reszta poświęci się różnym innym zawodom. Rzecz jasna zatem, że szczegółowe rozdrabnianie przedmiotu nie odpowiadałoby celowi: ci bowiem z pomiędzy studentów, którzy się zawodowi literackiemu poświęcą, mogą dalej z takim przygotowaniem skutecznie pracować, a towarzysze ich tymczasem będą wiedzieli, czego od przyszłych autorów wymagać i jak sądzić; będą ludźmi wykształconymi, obywatelami, jakich kraj właśnie potrzebuje.

Brodziński nie otrzymał, jak to już wspomnie-

liśmy, wykształcenia uniwersyteckiego, nie mógł też przedmiotu swego tak zupełnie, jak to wyżej powiedziano, traktować; ale niezmordowana praca, obfite nader, samodzielne studia i (jak to słusznie zauważył pan Kaszewski), ta systematyczność, której się od Niemców nauczył, złożyły się na wykład nie wszystkim wprawdzie wymaganiom propedeutyki uniwersyteckiej, odpowiadający, wykład pozbawiony tych śmiałych pomysłów, które elektryzują słuchaczy, ale przytem bezzaprzeczenia sumienny, w wielu razach bardzo użytecznymi uwagami wzbogacony, praktycznymi ewidencjami poparty, wykład, który i dziś w zastosowaniu pedagogicznem z korzyścią użytym być może jako materiał dla nauczyciela przy wykładach literatury i języka polskiego po pensjach, gimnazyach i t. p. zakładach naukowych.

Brodziński dzieli historią literatury polskiej na pięć okresów. Mówiąc zaś o początkach języka dzieli mowy słowiańskie na dwie grupy t. j. 1) wschodnio-północną, zawierającą języki ruski, serbski, kroacki 2) zachodnio-południową, do której zalicza polski, czeski i wendyjski, czyli sorabski.

(Dokończenie nastąpi).

ECHA Z CZECH.

Teatr i Uniwersytet. — Karnawał tegoroczny. — Niemiecka młodzież. — Odcinek p. Haritesa. — Sprawa czeskich kobiet. — Dziełka Weselego. — Nowa sztuka dramatyczna „Józef Kajetan Tyl”. — Z literatury: „Slovanské čtení”. — O tłumaczach z języka polskiego. — „Pan Tadeusz”. — „Hrady a zámky”. — Przewodnik po Czechach — Odezwa o wspieranie literatury. — Nowe czasopismo. — Odczyt o Polsce.

(Dokończenie).

Kto był Józef Kajetan Tyl? Niema Czech, któryby nie znał tego nazwiska, bo z niem złączona jest wielka część rozwoju nowego czeskiego życia. Urodził się w Czechach, gdy wstydzono się poczesku mówić, i rozpoczął działalność swą wtedy, kiedy ze wzgardą i lekceważeniem patrzonona literatów czeskich, chcących obudzić do nowego życia naród uspiący. Tyl pisał powieści, sztuki dramatyczne (zpod jego pióra wyszedł wielki dramat narodowy *Jan Hus*); redagował pisma literackie, był pierwszym, który marzył o czeskim teatrze, był zresztą sam artystą dramatycznym — nie w samej Pradze przecież. Włóczył się on z wędrownymi trupami po prowincji, ażeby lud miał sposobność słyszeć mowę czeską, urządził pierwsze czeskie *biesiady* — i walczył prawie od kolebki, aż do grobu z doświadczeniami losu, których tutaj wymieniać nie będę. Wszędzie spotykał się z przeszkodami i zakończył d. 11 Lipca 1856 roku życie, prawda nieśmiertelne, przez wdzięczność narodową, ale dla niego cierniste, a i dla nas pełne smutnych wspomnień.

Otóż życie tego męża, tego wskrzesiciela czeskiego ducha, przedstawia nam najnowszą sztukę Szamberka.

Za podniesieniem zasłony publiczność zgromadzona w teatrze ma przed sobą typową postać Tyla: siedzi przy stoliku i ręka jego spoczywa na dziełach, z których uczyliśmy się kochać strony ojczyste. Moment taki miał niejeden z widzów w życiu swoim: więc też początek ten sprawia wrażenie tak głębokie, jakie rzadko zdarza się w teatrze. Tyl mówi o swoich patriotycznych zamiarach, wynurza w pełnej czystości swego wzniosłego ducha noszone w myśli przedsięwzięcia, lecz w działaniu spotyka się na kroku każdym z przeszkodami, troskami, fatalnymi wypadkami, z nieszczęściem, a zawsze w tak okrutny sposób, iż całą sztukę Szamberka trzeba-by nazwać torturą, gdyby żywioł komiczny, przedstawiony przez osoby, mające w sztuce stanowisko podrzędne, nie rozjaśniał atmosfery choć trochę, choć na pozór. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że Tyl, jako bohater sztuki, robi wrażenie niewymownie smutne. Tragiczność dochodzi szczytu w akcie trzecim, w chwili

śmierci Tyla. Szlachetny ten patriota narodowości naszej umiera przed oczami widzów, jako bolesna ofiara wzniosłe pojętego uczucia miłości.

Cała sztuka nie przedstawia, względnie do Tyla, ani jednej chwili jasnej. Autor nie znalazł w jego życiu ani jednego momentu, któryby mógł, choć przez odbicie, przez odbłask jakiś, być podobnym do gwiazdy szczęścia. A nie sztuczne to jest, nie naciągane tendencyjnie.

Prócz słów, głębokie wrażenie wywiera na słuchaczy muzyka, która odzywa się miejscami, jak to jest przyjęte w melodramatach. Muzyka ta jest Dworzaka, i za granicą znanego kompozytora czeskiego, który układając muzykę swoją do rzeczowej sztuki Szamberka, miał zawsze w pamięci temat czeskiego narodowego hymnu „Kde domov můj”, czuć go w całym utworze Dworzaka, w nowych tylko formach i tempach; zawsze jednak wrażenie jest to samo, jakie sprawia hymn narodowy. Biorąc rzecz ze stanowiska indywidualnie czeskiego, dramat *Józef Kajetan Tyl*, stawiający nam przed oczy odrodzenie czeskie i tajniki jego, ma interes niezaprzeczony, a nawet wielki, ogromny, mimo to, że sztuce, jako takiej, można, i nie jeden nawet zarzut zrobić.

Wkrótce ma być na scenie naszej przedstawiony dramat Jarosława Vrchlickiego *Drahomira*. Przedmiot, który się tu traktuje, znany jest czytelnikom *Bluszcza*, sztuka zaś będzie pierwszą próbą dramatyczną, tego nadzwyczaj płodnego poety i ciekawość publiczności czeskiej jest ogólna.

Trzeba nam wspomnieć i o innych jeszcze sprawach literackich w Pradze. „Slavia” zaczęła wydawać od Nowego Roku nowy rodzaj podręcznika dla nauki języków słowiańskich, szczególnie polskiego. Systemat, jakim się odznacza *Slovanské čtení*, jest bardzo dobrze obmyślanym i może doprowadzić do pożądanego celu, jeżeli redakcyja starać się będzie z należytą sumiennością zadość uczynić swoim zobowiązaniom. Co do metody, jest inna, następująca: podany jest naprzód text oryginalny i pomiędzy wierszami znajduje się *dostłowny* przekład czeski. W pierwszym zeszyście polskiej części, spotykamy dosłowne tłumaczenie nowelli „*Wrzosowy wieniec*”, przez Jastrzębczyka. Każdego miesiąca mają wyjść dwa zeszyty (po 8 stron) i niema wątpliwości, że każdy Czech może się w taki sposób, w przeciągu jednego roku, jaknajłatwiej, *prawie sam o tem niewiedząc*, nauczyć popolsku rozumieć i czytać, nawet i trochę mówić. W pierwszej części (str. 1—8) pokazały się omyłki, jednak jest nadzieja, że redakcyja, wzięwszy na uwagę błędy wytknięte przez krytykę, usunie na przyszłość wady tego rodzaju (co zresztą nie jest rzeczą trudną).

Należy mi tu wspomnieć, że w przeciągu bardzo krótkiego czasu wyszło w Pradze czwarte wydanie *Grammatyki polskiej* Szpachty, nanowo przejrzone i przez zupełnie nowe wypisy z literatury polskiej rozszerzone. W księgarniach mówili nam, że podręczniki podobne wypisywane bywają szczególnie z prowincji, co zapewne jest najlepszym dowodem, że i na prowincji zajmują się u nas bardzo nauką języka polskiego. Całe grono najlepszych tłumaczy z literatury polskiej na język czeski mieszka na prowincji, gdzie z niemałym trudem dostaje się im do rąk książka polska. Są to szczególnie pedagodzy, nauczyciele średnich albo ludowych szkół: Hora, Szpanhel, Neczas, Kvapil, Bardoun, Holinka, Szwab-Polabsky i t. d. Wszyscy oni pozostają poza ruchem czeskiego umysłowego życia, jednak do pewnego choć stopnia są w związku ze społecznym ruchem literackim w Polsce. Niejeden z nich abonuje sobie jakieś literackie pismo polskie, albo za pośrednictwem kogoś ze swoich kolegów, w Pradze, lub wprost wypisując je z Galicji zwłaszcza z Krakowa.

P. Krasnohorska skończyła już przekład *Pana Tadeusza*, który też już oddała do druku. Wydrukowanych jest ośm arkuszy i cieszymy się nadzieją, że za kilka miesięcy będziemy mieli całe arcydzieło wieszcza polskiego w naszym piśmiennictwie. Znając przekład czeski z pojedynczych ustępów, twierdzić możemy z prawdziwą przyjemnością, że czeski „Pan Tadeusz”, będzie pracą dokładną, zasługującą na wszelkie uznanie.

Pyszne wydawnictwo czeskie: *Hrady a zámky*

czeskie, o którym zrobiliśmy już raz, w piśmie waszem, wzmiankę, coraz pomyślniej się przedstawia. Właśnie wydany XV, zeszyt zakończył tom pierwszy wydawnictwa, które zawiera opisy historyczne i ilustracje starych, romantycznych gniazd szlachty czeskiej powiatu Chrudimskiego. Dzieło rzeczone jest nawskróś patriotycznego charakteru, budzi bowiem interes i miłość do przeszłości ojczystej, w sposób dla zadania takiego najodpowiedniejszy i najsympatyczniejszy. Zyczyć też nam wypada, ażeby nic nie stanęło na przeszkodzie temu wydawnictwu, w każdym razie wielce kosztownemu. Jeżeli doczekamy się 13-go tomów in folio, opisujących tak gruntownie nasze zamki staroczeskie, jak tom pierwszy, to piśmiennictwo nasze będzie posiadało dzieło, przedstawiające najkorzystniej rozwój czeskiej literatury. Według programu ma wyjść *Hrady a zámky* tomów trzynaście.

Na nieminiejszą uwagę zasługuje nowe i pierwsze u nas dzieło tego rodzaju: *Rzivnaczu-Pruvodce po Czechach* (Przewodnik po Czechach) wydany na sposób znanych podręczników Baedekera. Cel *Pruvodce*, a raczej jego autora, Rziwnacza, jest ten sam, jaki sobie założył Baedeker: chce on ułatwić podróżnikom poznanie czeskiego kraju, tak pod względem rzeczy, jak miejscowości uwagi godnych. Praktyczne wskazówki, liczne karty, staranne miejsc opisy, stanowią tu zalety, które obiecują książce rozpowszechnienie. Nakładca nie szczędził kosztów; wynoszą one bowiem 12,000 guldenów.

Przed samym Nowym Rokiem ogłoszoną została we wszystkich gazetach czeskich, gorąca odezwa „do Czechów”, mająca za cel podciągnięcie ogółu do wszechstronnego poparcia literatury ojczystej, szczególnie peryodycznej. Odezwa, podpisana przez wszystkie wybitniejsze osobistości kraju, została bardzo serdecznie przez ogół przyjętą i wydała tak pocieszający skutek, że niektórym czasopismom przybyło po kilkuset nowych przedpłacicieli; a to dużo znaczy, i merytalnie, i moralnie!

Od Nowego Roku wychodzi nowe belletrystyczne pismo *Zora*. Redaktorem jest J. Hudec, znany tu z dobrych przekładów z języka polskiego. Z pierwszych numerów przedstawia się *Zora* dobrze i tendencją jej można pochwalić. W narodowym muzeum czeskim wygłoszono w miesiącu Styczniu odczyt, celem którego było obznajomienie słuchaczy ze stanowiskiem, „jakie zajęła obecnie literatura polska wobec Czechów”.

Edward Jelinek.

WIADOMOŚCI Z MEDYCYN Y POPULARNEJ.

SUCHOTY I CYWILIZACYA

Dwa odczyty Dra H. Dobrzyckiego.

Smutna dola przypada zawsze lekarzom: mówić i pisać o rzeczach wstrętnych i przerażających, o chorobach i zboczeniach, na których wspomnienie samo wzdryga się natura ludzka. A dola to nie tylko smutna, ale i zadanie bardzo trudne. Mówić trzeba przystępnie i zrozumiale wobec publiczności, zupełnie do tego nieprzygotowanej, unikać przedstawienia jaskrawych i wstrętem przejmujących obrazów, a przytem starać się wytłumaczyć swoim czytelnikom, iż dokładna znajomość omawianych kwestyj może się w wysokim stopniu przyczynić do zmniejszenia się ilości chorób gnębiących ród ludzki. W rzeczy samej wstręt, jakim przejęty jest ogół czytelników do pobieżnych kwestyj lekarskich, bardzo łatwy zresztą do zrozumienia, niemają stanowi zaporę do szerzenia zdrowych pojęć sanitarno-hygienicznych, których znajomość tak jest niezbędną dla uniknięcia wielu cierpień. Każdy chętnie przeczyta wiadomość o 4 lub 5-ciu bliźniętach, które naraz na świat przyszły, albo

o sztucznej krtani, którą choremu wstawili, ale w żaden sposób nie da się nakłonić do wysłuchania traktatu o ciężkiej chorobie, gnębiącej ród ludzki. Zdając sprawę z nader ważnego odczytu Dra Dobrzyckiego, postaram się być zwięzłym i przedstawić te tylko fakta, których znajomość pierwszorzędnej jest wagi dla każdego miłującego swoje i swoich najbliższych zdrowie.

Prelegent krótko się zatrzymał nad naturą choroby zwanej suchotami i wogólnych zarysach skreślił, iż jest to choroba organu oddychania, objawiająca się kaszlem, prawie stałą gorączką, wycieńczeniem sił, płuciem krwią od czasu do czasu i t. d. Objaśnił dalej słuchaczów, iż ostre zapalenie płuc, może być punktem wyjścia choroby wycieńczającej, prowadzącej do suchot, iż choroba ta często bywa dziedziczną, iż niektóre zajęcia szczególnie do niej usposabiają i wreszcie, że ludzie między 30 a 40-tym rokiem życia najczęściej temu cierpieniu ulegają. Suchoty zajmują, według słów prelegenta, zupełnie odrębne stanowisko w liczbie chorób trapiących ludzkość, a to z powodu, iż 1/3 część wypadków śmierci następuje skutkiem suchot. Epidemie dżumy, cholery, tyfusu, których słusznie tak strasznie się obawiamy, niezem są wobec suchot, gdyż trwają one przez pewien przeciąg czasu a potem ustają, gdy tymczasem suchoty nigdy jeszcze nie ustały, nigdy licznie się nie zmniejszyły, zabierając nie-miłosiernie swoje ofiary. Żaden stopień geograficzny, żadna strefa nie jest wolną od nich, gdyż błędne jest przekonanie, jakoby w krajach gorących mniej one grasowały. Mieszkaniec naszej strefy, chory na suchoty, może sobie życie przedłużyć przez spędzenie jednej lub kilku zim w krajach południowych, ale nie idzie zatem, żeby choroba ta wcale się tam nie pojawiała. Odrębność suchot stanowi jeszcze i ta ważna okoliczność, iż zabierają one swoje ofiary pomiędzy ludźmi od 20 do 35-go roku życia, a zatem jednostki w sile wieku będące i najpożyteczniejsze dla społeczeństwa.

Suchoty różnią się jeszcze i tem od innych groźnych, zwłaszcza zaraźliwych chorób, że kiedy o sposobie powstawania i szerzenia się tych ostatnich prawie nic nie wiemy, o suchotach śmiało powiedzieć możemy, iż jest wytworem wadliwej pod względem zdrowotnym postaci układu społecznego, która człowieka od warunków, stanowiących podstawę życia, coraz bardziej oddala. Prelegent wygłosił zdanie, iż suchoty są wytworem cywilizacji, nakładającej na człowieka obowiązki przechożące jego siły, „nie podając mu zarazem środków, któreby zamach ten na jego istnienie odeprzeć mogły“. Zaliczamy jednym słowem suchoty do tak zwanych „Kulturkrankheiten“.

Przyczyną: dlaczego płuca najliczniejszym podlegają chorobom, jest to, iż organa te spełniają najważniejszą czynność w naszym organizmie, najwięcej w nim miejsca zajmują, gdyż, gdybyśmy powierzchnią oddechową płuc ludzkich na jednej płaszczyźnie rozwinęli, zajęłaby ona przestrzeń dwóch tysięcy stóp kwadratowych!

Szkodliwości wywołujące suchoty płucne, prelegent dzieli na trzy grupy, a mianowicie: szkodliwości wynikające z zanieczyszczenia powietrza, szkodliwości ograniczające funkcję oddychania i szkodliwości pochodzące z niedostatecznej ilości powietrza (przepełnienie szkół, fabryk i t. d.). Nieprawidłowości układu nerwowego, które pośrednio do wywoływania suchot płucnych się przyczyniają, prelegent wiele stosunkowo czasu poświęcił i starał się wykazać, jak zakorzeniona niemoralność w romansach, na deskach teatralnych i t. d., przyczynia się do powstawania chorób.

Przechodząc do leczenia suchot płucnych, prelegent przedewszystkiem mocno skrytykował używanie t. zw. specyfików jak kapsułki smołowe, wapno Churchilla, wdychanie benzoesu etc. i dowiódł jak zabawnym jest twierdzenie odnośnych „wynalazców spekulantów“, iż którykolwiek z tych środków suchoty leczy; w rzeczy samej nie może on mieć najmniejszego wpływu na przebieg choroby, a rozpowszechnienie takich środków, sztucznie przez zręcznie prowadzoną reklamę podtrzymywane, nie tylko naraża na straty pieniężne, ale przyczynia się niejednokrotnie do tego, iż używa-

jący ich z całem niezasłużonem zaufaniem tracą czas tak drogi i dają się chorobie rozwijać.

Prelegent zaznaczył, iż najstosowniejsem jest leczenie suchot metodą przyrodolecniczą, która krótko mówiąc zasadza się na tem, iżby największej ilości świeżego powietrza choremu organizmowi dostarczać. Powietrze górskie o tyle jest skutecznem, o ile jest czystem, t. j. żadnemi niezdrowymi przymieszkami nie zanieczyszczonem, ale zresztą wcale specyficznie nie działa, jak to dawniej przypuszczano. Pobyt nad brzegiem morza, albo na morzu (na statku) bardzo jest skutecznym dla tejsamej przyczyny. Budowano odpowiednie sanatoria na statkach i otrzymywano bardzo dobre rezultaty. Prelegent wspominał o świetnych rezultatach, jakie ze swojego leczenia otrzymuje Brehmer w Goerbersdorfie, nie zaniedbał też wspomnieć D-ra Alfreda Sokołowskiego, który długi czas był jego pomocnikiem w Goerbersdorfie, i wreszcie opisał sanatorium dla biednych chorych, jakie od paru lat w Mieni urządza. Oprócz tego część integralną metody przyrodolecniczej stanowią: natryski z wody zimnej, gymnastyka płucna (głębokie oddychanie), chodzenie po pagórkach o niewielkiej pochyłości, wreszcie odpowiednia, pożywna dyeta. Zastosowanie tych środków nie jest tak łatwem, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło, gdyż lekarz obowiązany jest do odpowiedniego indywidualizowania.

Mówiąc o metodzie przyrodolecniczej, prelegent zaznaczył, jak bardzo potrzebne są w kraju naszym zakłady lecznicze dla chorych średniej za-możności, niemających środków do leczenia się na Madeirze, we Włoszech etc. Zakładów takich 10 rozrzuconych po całym kraju nie byłoby za-nadto. Prelegent chwalił bardzo zyczący coraz bardziej u nas się szerzący spędzania letnich miesięcy na świeżem powietrzu poza Warszawą. Jest to zastosowanie się do bardzo ważnych zasad higienicznych, a ilość miejsc pobytu letniego w różnych bliżej lub dalej Warszawy położonych miejscowościach, dochodzi już dzisiaj do pokaźnej liczby stu. Autor słusznie widzi w tem wielki postęp.

D-r Dobrzycki niemało zasłużył się publiczności, wypracowawszy swoje dwa odczyty, które tak pod względem treści jak i pod względem wykwin-tnej formy na wielkie uznanie zasługują. Podziwiać należy: jak prelegent potrafił ostatnie wyniki nauki w kwestyi tak specjalnej, przedstawić tak przystępnie i tak zrozumiale.

D-r Gustaw Fritsche.

NOWINY PARYZKIE.

Oburzenie p. Caro; jego zatargi z krytyką literacką. — Kto tu winien? — Jak stoi dziś we Francji krytyka literacka? — Co p. Caro odpowiedział jednemu ze swych słuchaczy? — Nowy przykład braku krytycznej miary. — *La Faustin*, nowa powieść Ed. de Goncourt'a. — Odwrotna strona medalu. — *Książę Konstanty* Lud. Halévy'ego. — Naturalizm i brzydota. — Wartość i znaczenie nowej powieści. — *Historja Filipa II*, przez p. Forneron'a. *Ludwik XV i Elżbieta* p. Vandala. — Skandale brukowe Paryża. — Sprawa Dumasa z akwarellistą p. Jacquet'em. — Obrzydliwa awantura *Figara* z dawniejszym reporterem tego dziennika. — Dokąd idziemy? — Wystąpienie na scenie Teatru Francuzkiego Rossyanki, pauny Fejgin.

Paryż, w Marcu 1882 r.

(Dokończenie).

Z książek ważniejszych zasługują na uwagę dwa ostatnie tomy *Historji Filipa II*, przez p. Forneron — dzieło opracowane z nowych i oryginalnych źródeł. Zwrócić muszę uwagę specjalnych pracowników na niwie dziejopisarskiej na pewien rodzaj historyczno-biograficznego dykcjo-narza osób współczesnych panowaniu Filipa II. Szczególną zaletą tego dodatku jest pracowicie i skrzętnie zebrany materiał o wielu nieznanych, albo błędnie wskazywanych dawniej osobach, i wypadkach. F. Forneron prostuje utarte już a niedokładne wskazówki, przytacza wiadomości trudne do wyszukania gdzieindziej. Do dzieła swe-

go dołączył autor pięknie sztychowany *all'aqua forte*, portret Filipa II, a na każdej prawie karcie znajdujemy szczegóły bardzo ciekawe i dotąd zupełnie nieznane. Dzieło p. Fornerona, skończone dzisiaj, stanowi ważny bardzo przyczynek do prac historycznych naszego czasu.

Niemniej ciekawą, chociaż mniej ważną, książką jest studium opracowane na źródłach znajdujących się głównie w archiwum tutejszego ministerium spraw zagranicznych, przez p. Alberta Vandala. Książka ta ma tytuł: *Louis XV et Elisabeth de Russie*. Odkąd archiwum spraw zagranicznych stało się dostępnem dla pracującej publiczności wiele już wyciągnięto z tamtąd ciekawych i pożytecznych wiadomości. Wspomniałem niedawno o *Pamiętnikach S-t Simona*, dopełnionych tak szczęśliwie, zapomocą odszukanych papierów, pozostałych po tym znakomitym pisarzu, a odszukanych w temsamem archiwum. Teraz mamy do-syć ciekawy i zabawny obraz dworu Elżbiety, według korespondencji ambasadora francuzkiego, który był zarazem bardzo dowcipnym człowiekiem, i pilnie postrzegającym, co się wkoło dzieje. Przyjaciół Fryderyka II, przy którym posłował, ma on ten sarkazm na ustach i tę ironię w słowie, która charakteryzowała króla pruskiego.

Znalazłoby się jeszcze niejedno do powiedzenia we względzie literackim, ale pilno mi przejść do wiadomości brukowych, w które obficie nas zaopatrzył zachmurzony Luty. Najpierw wystąpił na scenę Dumas, i to w najdziwniejszej sprawie. Kilka lat temu, kiedy się rozpoczynał ledwie we Francji ten ruch artystyczny akwarelli, który jest dziś w całym swoim blasku pomiędzy malarzami tego rodzaju, na których przyszłość można było liczyć, znajdował się niejaki p. Jacquet; miał on na wystawie dorocznej piękną akwarellę, którą targowało wielu, ale nikt nie kupił z powodu jej wysokiej ceny. Dumas jest wielkim zbieraczem i miłośnikiem rzeczy artystycznych. Po skończonej wystawie udał się do pracowni p. Jacquet'a i widząc obraz na staludze, zapytał czy jest do sprzedania? Niestety! — odpowiedział artysta, — targuje go Goupil, ale nie zgadzamy się na cenę; ja żądam dziesięć tysięcy franków, on daje osm, i na tem sprawa utknęła. — „A więc, — powiada Dumas, — jeśli pan się zgodzisz, ja daję dziesięć tysięcy franków i proszę mi przysłać obraz“. I stało się, jak umówiono: Dumas został posiadaczem pięknej akwarelli. We dwa czy trzy lata później odstąpił tę akwarellę temuż Goupilowi, z pewnym, jak powiadają, zyskiem — a ztąd niechęć malarza. Dumas był w prawie postąpić, jak mu się zdawało.

Aby się zemścić, na tegoroczną wystawę akwarellistów francuzkich p. Jacquet przysłał wielką, piękną akwarellę, wyobrażającą sklep jakiegos marokańskiego żyda tandeciarza. Tandeciarz był to żyjący portret Dumasa. Obraz! krzyk! gwałt, ścisk publiczności! Sprawa w trybunale, i nakoniec z wyroku sądowego nakazane usunięcie obrazu z wystawy, jako dotykającego osobistości Dumasa! Ale przedtem, zieć obrażonego p. Lip-mann, bankier żyd, kijem potłukł szkło akwarelli. P. Lipmanowa ciężko zachorowała ze wzruszenia, a p. Jacquet tryumfował, bo skandal narobił hałasu i dał nowy rozgłos artyście i jego akwarellem.

Kiedy przy ulicy Sèze, tak się tłuką i prawują o jakiś obrazek, który mało kto widział, dzienniki porwały to w lot i każdy, przesadzając się nad swego sąsiada, wystawiał na widok publiczny karykaturę, w której tenżesam Dumas figurował w śmiesznej postaci tandeciarza, ze starym garniturem na plecach... Ale niedosyć na tem: dziś demokratyzowanemu Paryżanom potrzeba było bardziej pieprzonego skandalu. Znalazł się i na to sposób: *Figaro*, nieśmiertelny w skandalach i napaściach *Figaro*, dostarczył niezbędnego tworzywa.

Redakcja tego dziennika, niezadowolona ze służby jednego ze swych licznych reporterów, dała mu odprawę. Nieszczęśliwy Lesueur, — nazywa się bowiem tak, jak sławny malarz, — poszedł na służbę do któregoś z sąsiadów, a używając dawniejszego tytułu, otrzymywał pewne wiadomości, przeznaczone jedynie dla *Figara*. Redakcja wytknęła tę niedelikatność Lesueura, a ujawniając jego nazwisko, dodała uwłaczające mu trochę ostrzeże-

nie. Nastąpiła ztąd korespondencya, której redakcyja nie dopuściła do szpalt swego dziennika, i skrzywdzony Lesueur, postanowił się zemścić.

Jak to powiadają, Francuz jest to domyslnie i wymyślne stworzenie. Lesueur wynalazł rodzaj zemsty, tak nieprzyjemny, nieobyczajny i brudny, na jaki nikt się jeszcze chyba nie zdobył na świecie. Aktu zemsty dokonał na głównym redaktorze i administratorze dziennika, p. Périvierze, w chwili, kiedy ten, przechodząc przez bulwary około Café Riche, rozmawiał jaknajspokojniej z towarzyszem. Wywarłszy zemstę, Lesueur czempredzej *fugae se dedit...* Figaro znalazł się w tej pozycji, że nikt go nie żałował, a wszyscy się śmieli. Od 15 dni wszystkie dzienniczki żyją ilustracyami tego wypadku, któremu nadano nazwę: *Le Couronnement de Figaro*.

Stare przysłowie powiada: „Kto czem wojuje, od tego ginie“. Panna Fejgin, artystka rossyjska, doświadczyła właśnie tej prawdy. Panna ta, która zdaje się, jak nam mówiono przynajmniej, nigdy na żadnej, choćby, najniższej scenie nie występowała, licząc na swą urodę, młodość i wielką oryginalność charakteru i ułożenia, postanowiła produkować się na scenie paryskiej. Nie można tego zamiaru nagać, bo każdy ma prawo wytknąć sobie cel, byleby cel ten nie był nieszlachetnym. Ja myślę, że p. Fejgin, puszczając się na to rozrukane morze artystycznej kariery w Paryżu, musiała mieć obok siebie doradców, opiekunów i jakiegoś Barnum'a; tak się pokazuje przynajmniej ze sposobów, których tu użyto, do otwarcia jej ku temu drogi. W tych sposobach objawia się doświadczenie i wielka znajomość tutejszych zakulisowych operacji.

Rozpoczęto naprzód kampanią, puszczając pęcherzowe balony dziennikarskich wiadomości; udano się do najwziętszych; wprawne pióra nie oszczędziły niczego, aby obudzić ciekawość publiczną. Opowiadano o jej dziwnej (*étrange*) piękności, o jej wzroku przeszywającym, o gibkiej kibici, o włosach, o zębach... o wszystkim, chwalone głoś, dziwiono się wymowie i czystości jej francuzczyzny, wysławiano trochę mężkie obejście się, ale dodawano zaraz komentarz, że panna jest rodem z Kaukazu, że to prawdziwa góralka, i że ma zawsze za pasem sztylet, a w kieszeni rewolwer.

Po takich przygotowaniach publiczności zwrócono się do przybytku samej Melpomeny. Należało zapewnić sobie scenę. Tutaj było trochę więcej trudności, ale, że protektorowie musieli być możni i wpływowi, więc i to się dało ułatwić na najpierwszej scenie, bo w „Comédie Française“. Dyrektora, ujęta, znalazła sposób — *truc*, jak tu powiadają. Wyciągnięto z teki *Barberine*, komedya nigdy tu niegrana Alf. de Musset'a. Jest tam niewielka, ale efektowna rola służącej niewolnicy greckiej *Kalekoire*, i tę powierzono pannie Fejgin. W kostiumie zużytkowano wszystkie cielsne zalety panny, bo to Francuzi są na to mistrze, umieją pokazać kobietę i konia na sprzedaż. Włosy obfite czterkieskie, owa sławna kosa okryła ją od głowy do stóp. Ale cóż? trzeba przecież coś mówić. Tu dopiero pokazał się szkopuł. Czułe ucho francuzkie na poprawność dykeyi i dźwięku, zwiędło przy pierwszych wyrazach. Płec mężka możeby jeszcze kapitulowała, ujęta zaletami dostrzeżonemi *in pulchro corpore*; ale, na nieszczeście, w Teatrze Francuzkim kobiety są zwykłe w przeważnej liczbie. Słyszac te dziwne dźwięki o tym śpiewnym akcencie, który znacie doskonale, a który wzruszenie bardzo naturalne debiutanki podwoiło jeszcze, zaczęto się uśmiechać, żartować, podchwytując za słowa. Jednem słowem próba się nie udała, i najprzychylniejsze dzienniki musiały przyznać, że niedosyć jest mieć długie i obfite włosy, aby wystąpić na scenie: potrzeba jeszcze mieć inne zalety, — a panna Fejgin potrzebuje wrócić do szkoły języka! Jest to przykład, jak trudno jest stanąć i zapanować na obcej scenie. Chciałbym, aby ten przykład nie był straconym dla nas i u nas. Nie dosyć mieć młodość i wdzięki, nie dosyć mieć nawet talent, aby obcym władać językiem, z mównicy, czy ze sceny: trzeba mieć, jak mówią Francuzi, *le diable au corps*.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Zacna filantropka, p. Tekla Rapacka, wzięła na siebie cały koszt budowy kościółka S-tej Barbary na Koszykach, wynoszący wedle kosztorysu przeszło osiemdziesiąt tysięcy rs. Opatrzywszy pobożną, a razem obywatelską swą ofiarę odpowiednim aktem prawnym, złożyła już sumę przeszło pięćdziesiąt tysięcy rs. na ręce p. L. Górskiego.

Hrabina Krasieńska i p. Blochowa, wzruszywszy się dobroczynnie myślą o niedostatkach a nawet nędzy, jaka często spotyka spracowane i wiekiem obciążone nauczycielki, zamierzyły wzniesić dla nich dom przytułku. Będzie to jedna z najsłabszych ofiar miłosiernych, zapelniająca w publicznej naszej dobroczynności brak bardzo wielki.

P. Alexandra Marczevska, poświęcająca od lat kilku pióro swoje literaturze ludowej, autorka świeżo wyszłej opowieści z czasów Kazimierza Wielkiego: *Królewski Dziadek* rozdarowała między lud wiejski 500 egzemplarzy swoich powiastek, działając pod wpływem przekonania, słusznego niestety, że lud, przywiązany silnie do groza, a rzeczywistych pożytków książki dotąd nierozumiejący, nie kupuje jej *jeszcze*, jakkolwiek jest już rad, gdy ją sposobem daru osiągnie i dziecku swemu do czytania poda. Rodzice sami słuchają z zajęciem i naiwną ciekawością, co im to dziecko z książki owej przeczyta i dar książki, ludowi uczyniony, jestto siejba oświaty w świeżo zoraną rolę umysłowości jego rzucona. P. Alexandra Marczevska jest sama dziełek swoich wydawczynią: żadnego zysku z nich ani pragnąc ani też otrzymując coś więcej nad to, co ziarnem owego zacnego siewu czyni. Oddana pracy nauczycielskiej, ma jednak czas i chęć na tę drugą obywatelską pracę pocziwą.

„Gazeta Lubelska“ w korespondencji z Chelmskiego donosi, że kilka mieszkank tamtego powiatu, pragnąc przyczynić się do oświaty i umoralnienia ludu wiejskiego, postanowiło w obrębie działalności swojej zakładać gospody chrześcijańskie, łącząc z niemi sklepy, gdzie wieśniak znajdowałby najpotrzebniejszy mu na zwykłą konsumpcję, a ucziwie co do ceny, gatunku i wagi lub miary sprzedawany towar. Gospody takie, pisze korespondent Chelmski, oprócz swego bezpośredniego i najważniejszego celu mają jeszcze i tę drugą zasługę, że dają spokojny i ucziwy zarobek potrzebującym pracy kobietom. Pismo nasze od lat wielu wskazywało sklepikarstwo wiejskie, jako kobiecie odpowiednią, a dla kraju w wysokim stopniu pożyteczną pracę. Radziliśmy również i radzimy jeszcze osiedlanie się po wsiach parafialnych, a jak obecnie pod boki gospod, krawczyń i szwaczek wiejskich z maszynami do szycia, a nawet bez takowych, gdy brak kapitału zakładowego na to nie pozwala. Wszystkie kaftany i cieplejsze okrycia kobiece, jak tołubki, przyjaciółki i tam dalej, obecnie wykonywane przez krawców miasteczkowych, krawczyni taka robić-by mogła, jak niemniej: gorsety, kamizelki męskie, dalej fartuchy ozdobięjsze i wszystkie tym podobne przedmioty ubioru kobiet wiejskich i dzieci, nawet chłopczyków i chłopców, których sukmanki bez zbytniego, siłę kobiety przechodzącego trudu, szycyby mogła krawcowa taka. Gdyby mogła na zachętę i wykazanie, że to potrafi, zaopatrzyć się wraz z otwarciem szwalni swojej w gotowy towar taki, wywieszając kilka ubiorów kobiecych i dziecinnych, kilka kamizeli męskich na widok oczu ludności miejscowej, prędzejby zdobyła sobie klientelę. Sądzę, że i wyrób kwiatów sztucznych na potrzeby wieśniaczek teżby mógł mieć powodzenie, oraz czepków kobiecych i czapeczek dziecinnych. Maszyna do pończoch oplaciłaby się niewątpliwie; wadą jest większej części maszyn do roboty domowej zastosowanych, że wyrabiają zupełnie dobrze tylko pończochy grubsze, zatem takie właśnie, jakich tu potrzeba. O mieszkaniu na takie pracownie wiejskie już dziś nietrudno, z jednej strony sami wieśniacy chętnie wydzier-

zawiają część chat swoich; z drugiej dwory już pojawiały ważność przemysłu wiejskiego, chętnieby wynalazły pomieszczenie dla tego rodzaju przedsięwzięć, które wieś podnosi i często dworowi nawet stają się wygodą. Zdaniem naszym lepiej się żyje w niskiej, drewnianej chacie wiejskiej, którą otacza powietrze świeże, która ma obok zawsze ogródeczek jakiś, gdzie wreszcie wszystkie warunki życia są o wiele łatwiejsze, niż w miejskiego zaułku wilgotnej, ciasnej kamienicy w nędznej, a najczęściej brudnej izdebce się mieścić i wiecznie z nędzą walczyć, z nędzą graniczyć, bo większy zarobek w mieście, to złuda i fantasmagorya, gdy się drogość miejskich środków utrzymania policzy. O wsi da się jeszcze powiedzieć: „Byle się schylić, coś podnieść można“ Wiejski przemysł kobiet to gałąź ważna, nietylko zarobku dla nich, ale umoralnienia wsi i przez bliższe zetknięcie z żywiołem podniesionym już cywilizacyjnie tej wsi cywilizowanie. Jest przysłowie: „Bóg wysoko, pan daleko“ bo aż we dworze, ale taki sklep, gospoda, szwalnia z kobietą klasy średniej na czele, to już blisko: jest tuż przed oczyma żywy przykład jej domowego gospodarstwa, jest stosunek z nią już konieczny, może być i rada pocziwa to w tym, to w owym kłopotcie czy rodzinnym, czy ekonomicznym udzielona. Co za pole, co za pole szerokie pocziwej pracy obywatelskiej?...

Korespondent Chelmski dodaje, że owe zamierzone gospody, różnić się będą od innych, już w tej okolicy kraju istniejących, tem, że szylu mieć nie będą, zatem podróżny jezdny czy pieszy już tam nie zapuka a zatem tylko ludności miejscowej służyć będą. Nie znamy stosunków miejscowych, nie wiemy też celu, w jakim to odróżnienie przedsięwzięte zostało, lecz sądząc z ogólnego na rzecz tę poglądu, jestto zawsze ściśnienie działalności, ograniczenie jej pewne. Ale powodów nie znamy, więc sąd jednostronnym być może.

Towarzystwo kuchni ludowej, to jest „kuchni taniej“ we Lwowie odbyło w dniu 22 Marca bieżącego roku doroczne swoje zebranie pod przewodnictwem hr. Maryi Potockiej. Prócz tego, że towarzystwo to zostaje jak we wszystkich większych miastach Europy, z wyjątkiem jedynej chyba Warszawy, pod przewodnictwem i kierunkiem kobiety, wybrało ono sobie do zarządu tegoż rocznego pań 16: Abramowiczową Antoninę, Balasitsową Maryą, Dzieduszycką Włodzimierzową, Friedową Laure, Gromanową Eugenią, Małecką, Madejską Waleryą, Mikulińską Gabriellę, Pieta-kową Janinę, ks. Sapieżynę Adamową, Wędrychowską, Szalenbergerową Linę, Semilską Antoninę, Tustanowską Justynę, Wernerową Leontynę, Wierzbicką Julią. Tania Kuchnia Lwowska wydała w ciągu 1881 r.: 47,000 obiadów, a na mocy układu zawartego z towarzystwem „Opatrzność“ 30,590 półobiadów po 5½ centa, razem 77,590 porcyj; między tem 2340 obiadów bezpłatnych dla ubogich uczniów szkół.

Towarzystwo pomocy naukowej w Prusach Zachodnich dla dziewcząt polskich, na walnem swem zebraniu dorocznem ogłosiło sprawozdanie z czynności za rok ubiegły, a jedynasty istnienia swego. Działalność towarzystwa obejmuje 21 powiatów Prus Zachodnich, a 4 powiaty Księstwa Poznańskiego: Bydgoski, Inowrocławski, Szubiński i Wyrzyski. Członków liczy towarzystwo 358, przeciw sprawozdanie wykazuje, że składkę roczną nisiliło tylko 248 stowarzyszonych, zaległo zatem 110. W Prusach Zachodnich przestalo zupełnie wnosić składek 6 powiatów, powiatów, niestety, kresowych, a mianowicie: Elblązki, Kwidziński, Suski, Tucholski i Wałecki; w Księstwie Poznańskim jeden: Wyrzyski. Na tegorocznem zebraniu walnem, odbytem w dniu 16 Lutego bieżącego roku w Muzeum Toruńskim, chciano powiat Wyrzyski z listy Towarzystwa wykreślić, i tylko na przedstawienie Alfonsa Moszczyńskiego uradzono jeszcze, aby krokiem takim, obywatelską niesławę przynoszącą, powiatu nie dotyczyć, w nadziei, że poczucie obowiązku da się w nim rozbudzić. Dochodu ze składek rocznych miało Towarzystwo 1351,40 marek, z zaległości otrzymało 137 m. jednorazowego datku miało 23 m., razem

1520,40 m. Z innych wpływów miało Towarzystwo 672,65 m. Procent od dwóch zapisów: ś. p. Wilkxyckiej i jej córki ś. p. hr. Mielżyńskiej 615 m. od deponowanej chwilowo summy 37,70 m., nadzwyczajnych datków 19,95 m. Razem dochód Towarzystwa wynosił 2.193,80 m. Wydatki roczne towarzystwa były: na stypendya dla 8 dziewcząt 913 m., na szkołkę w Toruniu 195 m., na administracyę 57,80 m. Zatem wydano razem 1.165,80 m.

Ze remanent z roku zeszłego przedstawiał 1.001,57 m., zatem po odtrąceniu rozchodu pozostało w kassie gotówki 2.028,82 m. „Gazeta Toruńska” pisze też wskutek tego, że jest to stan tak kwitnący, jakim nie cieszy się żadne z dobroczynnych polskich towarzystw stron tamtych, lecz zarazem odzywa się do Towarzystwa, że celem jego nie jest zapasy gromadzić, ale wykształcenie kobiet, uzdalnianie ich do pracy korzystnej wspierać. Wskutek tych uwag „Gazeta Toruńska” żąda, aby panie kassyerki, przedstawiające po powiatach Towarzystwo, zechciały zdolne dziewczęta dyrekcyi głównej przedstawiać. My dodajemy tu słówko jeszcze: Czyby dyrekcyja w tych właśnie powiatach najdalszych, które od Towarzystwa odpadły, a w których jego pomoc jest właśnie najpotrzebniejszą, takich dziewcząt, jak było wyżej, nie poszukiwała ze starannością szczególną i groszem swym wykształcenie ich w kierunku pożądanym prowadząc nie działała tym sposobem w myśl tego obywatelskiego uczucia, które zawiązaniu Towarzystwa przewodniczyło?

Zebrań walne w Muzeum Toruńskim odbyte pod przewodnictwem p. Ludwika Ślaskiego zgromadziło tylko 12 pań i 5 panów. Uchwalono na niem, aby odtąd dyrekcyja składała się z członków 9. Po dokonanych wyborów nowa dyrekcyja złożyła się z pań: Donimirskiej, Moszczeńskiej, Pągowskiej, Rakiewiczowej, Semplawskiej, Szulcowej, Szumanowej, oraz z p. p.: Edw. Donimirskiego i Lud. Ślaskiego. Szczęść Boże i Bóg zapłać...

Izby francuzkie uchwaliły dziewięć milionów franków, pochodzących w części z funduszy rządowych, w części miejskich na założenie w Paryżu trzech liceów dla dziewcząt: jedno na Faubourg Poissonnière, dla którego gmach wzniesionym być potrzebuje, drugie zostanie pomieszczone w Hôtel de Sully, trzecie przy ulicy Saint André des Arts. Szkoły te będą miały pensjonat i klasy otwarte, poczynając od dzieci lat najmłodszych. Trzy pierwsze klasy udzielać będą naukę języka francuzkiego, angielskiego i niemieckiego, wiadomości z nauk przyrodniczych i umiejętności fizycznych; rysunek, śpiew, wreszcie trzy godziny są obowiązujące. Po przebyciu egzaminu z takich trzech klas uczennica otrzyma świadectwo ukończenia zakładu stopnia niższego. W klasie czwartej programmat obejmuje: naukę moralności, język i literaturę francuzką, oraz angielską i niemiecką, wiadomości z historii cywilizacji, z astronomii i kosmografii, zwierzęcej i roślinnej fizjologii. Łacina i kurs filozofii naturalnej, pomieszczonym zostanie, jeżeli rzecz będzie możliwą. W klasie piątej przybędzie nauka pierwszych pojęć prawa cywilnego i ekonomii domowej. Klasa szósta, dodatkowa, stanowić będzie kurs przygotowawczy do zawodu nauczycielskiego.

Widzimy z programmatu, że nowe te szkoły pomijają zupełnie: religię, historię, pedagogikę, która zapewne będzie udzielana w klasie dla specjalnie do zawodu nauczycielskiego przygotowujących się uczennic, a nie zasłyszają o niej nic te inne, które przecież mają być czasem matkami rodzin. Psychologia, stanowiąca tak ważny przyczynek do pedagogiki, nie znalazła miejsca obok fizjologii. W ogóle filozofia moralna, nauki historyczne są wykluczone z tych szkół, na które kraj dawać będzie summy tak znaczne.

Z początkiem Marca rozpoczął się przy wielu

gminnych szkołach dla dziewcząt i w salach me-rowstw paryzkich kurs wykładów miewanych przez towarzystwo: *Union des Femmes de France*; jaka powinna być działalność, która w czasie wojny, lub klęski publicznej obowiązuje publiczne pilnowaczki chorych, będące w dzisiejszej Francyi zastępczyniami Sióstr Miłosierdzia?

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Dwa serca znakomitych ludzi.

Wracamy jeszcze do sprawy odnalezienia Serca Konarskiego, o której pisaliśmy już w NN. 6 i 8 *Bluszczu* z r. b. Powiedzieliśmy tam, że dowodów stwierdzających tożsamość przedmiotu niema, jest jednak prawdopodobieństwo, iż serce Konarskiego znajdowało się w świątyni Pijarskiej przy ulicy Długiej i ztamtąd wraz z całym zgromadzeniem Pijarów w Warszawie dostało się na ulicę Ś-to Jańską. Tymczasem X. Adam Słotwiński, rektor zgromadzenia pijarskiego w Krakowie, zawiadomił nas w liście prywatnym z d. 6 Lutego 1882 r., że od księdza Franciszka Kasterskiego, ostatniego prowincyała zakonu w kraju naszym, otrzymał zaświadczenie stwierdzające fakt znajdowania się serca Konarskiego w pomienionym kościele. Donieśliśmy o tem w *Wiadomościach* Nr 8 *Bluszczu*. X. Słotwiński wyraził się, że b. prowincyał „pod kapłańskim słowem swoim zapewniam, iż przez lat dwanaście patrzył w kościele pijarskim na serce Stanisława Konarskiego wmurowane w ścianie Kościoła”. Na podstawie tak zrozumianego świadectwa nie wahał się już ksiądz rektor krakowski dokonać uroczystego wniesienia pamiątki do Kościoła Pijarskiego w Krakowie i uroczystość ta, jak z czasopism naszych wiadomo, odbyła się w d. 13 Lutego r. b.

Sprawdzeniem tożsamości pamiątki niezależnie od X. Słotwińskiego zajęli się w Warszawie, oprócz piszącego te słowa, jeszcze X. Krupiński, ex-pijar i p. J. K. Plebański, redaktor *Biblioteki Warszawskiej*; ostatni, znając księdza Kasterskiego, zwrócił się do niego o potrzebne wyjaśnienie. W odpowiedzi otrzymał list, którego ośnowę użytkował do swego przedstawienia sprawy w marcowym zeszycie *Biblioteki*. List X. Kasterskiego, udzielony nam w oryginale, nosi datę 13 Marca 1882 r.; pisany jest z Błonia, gdzie sędziwy kapłan od lat kilkunastu zamieszkuje. W liście tym zeznanie naocznego świadka brzmi inaczej niż w powołanym wyżej liście X. Słotwińskiego; ale stanu rzeczy nie zmienia. Ex-prowincyał XX. Pijarów oświadcza p. Plebańskiemu, „że w r. 1826 czy też 7, zostając w zgromad. warszawskim, widział w murze kościoła, przy drzwiach prowadzących z zakrystyi tablicę wielkości 1/4 arkusza z marmuru czarnego z napisem *Cor Stanisłai Konarski*”. Dość tej tablicy, aby mieć pewność, że serce wielkiego męża wyjęto ze zwłok i przechowywano oddzielnie. Potrzeba tylko udowodnić, że p. Pik nie padł ofiarą mistyfikacji; ale i tu domniemanie dodatnie wpływa z tej okoliczności, iż puszke z sercem w Nrze 319 *Tyg. Ill.* na drzeworycie wyobrażoną, nabył wraz z innemi rzeczami pijarskiemi po zniesieniu klasztoru przy ulicy Ś-to Jańskiej w d. 29 Listopada 1864 r. Pomimo takiego domniemania jednakże, sprawa tożsamości serca Konarskiego dopóty nie będzie stanowczo dla poważnych umysłów rozstrzygniętą, dopóki się nie znajdą dowody wykazujące wszystkie koleje, jakie przebyła pamiątka od zgonu reformatora w r. 1773 do chwili przejścia swego w posiadanie p. Pika.

Większa pewność otacza inną pamiątkę tego samego rodzaju: Serce X. Hugona Kollataja. Przypomniał o niej p. W. w *Gazecie Warszawskiej* z Marca r. b. Pisze on, że jeszcze w r. 1867 we wsi Wiśniowej, niegdyś dziedzicznej Kollatajów w Sandomierskiem, o milę od Staszowa, w grobach kościelnych, znalazł skrzynkę, w której mieściła się puszka blaszana z napisem: „Serce X. Hugona hrabi Stumberg Kollontaja, pierwszego emeryta szkoły głównej Akademii Krakowskiej, podkanclerzego koronnego, kanonika katedralnego krakowskiego, orderów polskich kawalera, który urodził się d. 1 Kwietnia r. 1750, umarł d. 28 Lutego 1812 r. w Warszawie”. Puszka obejmowała słój szklany, a w nim serce w stanie zupełnego zeschnięcia.

G. *Warszawska* dla sprawdzenia faktu odniosła się do proboszcza w Wiśniowej, X. Bonawentury Rewrowskiego. Otrzymała pod d. 5 Marca r. b. odpowiedź potwierdzającą w zupełności doniesienie powyższe. Serce Kollataja znajduje się istotnie w pieczarach pod kościołem w Wiśniowej. Na wierzchu skrzynki ołowianej, którą p. W. blaszaną nazwał, wryty jest wyraźny zupełny napis w brzmieniu wyżej podanem. Dokumentów żadnych X. Rewrowski nie znalazł w zbiorach parafialnych; zabrać je musiano wraz z aktami zapisów i inwentarzem gruntowym w r. 1828 do dworu w Wiśniowej, która podówczas była własnością hr. Eustachego Kollataja.

Szanowny pleban wiśniowski domyśla się, że serce po wyjęciu ze zwłok lub później mogło być przewiezione z Warszawy na to miejsce, gdzie dziś pozostaje. Dbały o zachowanie pamiątki narodowej, kapłan w końcu odezwy do *Gaz. Warsz.* pisze: — „Oby Bóg natchnął jaką osobę, któraby przysłała kamień marmurowy z takim napisem, jak na skrzynce, a kazałbym go w ścianę kościoła w Wiśniowej wmurować na pamiątkę”. Życzenie to tak skromne, że nie wahamy się pójść dalej. Cokolwiek o charakterze osobistym Kollataja mówią pamiętnikarze, a powtarzają za nimi późniejsi, serce tego następcy Konarskiego w pracy odradzającej Polskę XVIII wieku, zasługuje na to, aby je zachować w miejscu dostojniejszym od skromnego kościoła wiejskiego w Sandomierskiem. Miał i żywe serce dla swoich ten, w którym zwykliśmy cenić tylko jego głowę, niepospolity istotnie umysł. Najwłaściwsze dla pamiątki znajdującej się obecnie w Wiśniowej zachowanie byłoby w Krakowie, i p. W. słusznie rzuca myśl przeniesienia jej wewnątrz murów tegosamego uniwersytetu, który Kollataj z grzęzawiska Wieków Średnich wydobył. Na umieszczenie serca, czy w tych czy w innych murach, ale w każdym razie w Grodzie Podwawelskim, wystarczy tak mały nakład, że właściwie nie pieniędzy tu potrzeba, lecz tylko dobrej woli.

Przypominamy, że szczątki śmiertelne obu reformatorów spoczywają na Cmentarzu Powązkowskim: popioły Konarskiego w ziemi za kościółkiem, w pobliżu ambony żelaznej, popioły Kollataja w katakumbach, w miejscu dziś już zapomnianem. Dotychczas, oile wiemy, nikt nie podjął myśli odszukania owej trumny czy trumienki, o której pisze Woyciecki w T. I swego *Cmentarza*: a przecież to, co zostać mogło jeszcze ze zwłok Konarskiego, dla całego narodu drogą stanowić musi pamiątkę. Czyżby się nie zajęło odszukiwaniem czcigodnych szczątków zgromadzenie XX. Pijarów w Krakowie?

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*” dołącza się 12-ty arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

TREŚĆ. U grobu Chrystusowego, (poezya), przez M. I. — Nić tradycyi, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kilka słów o działalności nauczycielskiej Kazimierza Brodzińskiego, (dalszy ciąg). — Echa z Czech, (dokończenie), przez Edwarda Jelinka. — Wiadomości z Medycyny popularnej, (Dwa odczyty, Dra Dobrzyńskiego), przez Dra G. Fritsche. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Марта 1882 года.